

Wilcze jagody

### **Przeznaczeniem los tułaczy, czyli kilka słów o człowieku, który zamieszkał na skrzyżowaniu**

Według indiańskiej legendy nie wolno fotografować ludzi, ponieważ po rozstaniu się z życiem, istnieje znaczne ryzyko, że dusza modela zostanie zaklęta w plastiku fotografii i już nigdy nie wzleci do rajskich przestworzy. Coś mi się zdaje, że Andrzej Stasiuk albo nie słyszał o tej legendzie, albo nie wziął sobie do serca troskliwych przestróg plemiennej mądrości. A widać to wyraźnie w jego zamiłowaniu do przeglądania starych zdjęć i niezwyklej inklinacji do konstruowania obrazowej prozy. A może wręcz przeciwnie? Może to szczwany lis? Może autor doskonale wie co się dzieje z (mniej lub bardziej) niewinną ludzką duszyczką po akcie naciśnięcia migawki. Może guzik aparatu pod jego palcami zmienia się w spust, gdy lufa wymierzona jest prosto...No właśnie, w co? W cywilizację? Codziennosc? Własne życie? Pytań można stawiać tu bez liku i wyszukiwać równą liczbę odpowiedzi. Jedno jest pewne – dawno nie widziałam, żeby ktoś tak pięknie udawał, że ucieka...

O podróżowaniu pisano już wiele, a ja – muszę się przyznać – nie mam w tej dziedzinie zbyt dużego doświadczenia. Nie leciałam samolotem, nie zwiedzałam Zakaukazia, ani nie przejeżdżałam przez Babadag. Jednak wszystko zdaje się potwierdzać myśl, że to nie odwiedzone miejsca w książkach Stasiuka są ważne. Jego podróże w skali makro przywodzą na myśl tylko jakieś złudzenie, chociaż są bardziej namacalne i w pewnym sensie realne, niż refleksje i uczucia, do których prowadzą. Podróżnicza kanwa dzieł to tylko pretekst, sekundowy błysk flesza dla złożonego z surowych ścięgien i nieco nadwątłego drogą ciała, które i tak najlepiej nieco znieczulić węgierską pálinką. Notabene strony „Jadąc do Babadag” zdają się być aż lepkie od alkoholu, wytworzonego z przejrzałych owoców intelektualnego bezruchu, w nieustannie wirującej przestrzeni codziennego marszu. Przedzierając się wraz z autorem przez kolejne przystanki wschodnioeuropejskiej mapy, niemal bezustannie towarzyszyło mi odczucie, że stary samochód, którym jedziemy, zanurzony jest w somnambulicznej mgłę. Mimowolnie marszczyłam czoło i mrużyłam powieki, jakby chcąc obronić się przed jaskrawym światłem zaspanego świtu. Narracja powoli się rozpląta, a opowieść jest utkana z gęstej siatki wspomnień i egzystencjalnych rozważań. Te impresje przywodzą mi na myśl niedzielne poranki, jakie pamiętam z dzieciństwa: ostre światło przebija się przez szyby, jakby owładnięte rozlanym na drodze mlekiem, po pokoju rozchodzi się zapach rozgrzanego żelazka, syczącego na białej koszuli, a wszystko to okraszone

przeszywającym rozum dźwiękiem donośnego dzwonu, dochodzącym z wieży pobliskiego kościoła. Tak. Proza Stasiuka zdecydowanie ma zdolność oddziaływania na zmysły.

Jednak w wyprawach opisywanych przez pisarza jest coś bardziej interesującego, niż – z pewnością zajmujące w nich niebagatelne miejsce - poznawanie innych kultur i lokalizacji. To zupełnie inny rodzaj podróży. Wycieczka wewnątrz siebie, a jednocześnie poza siebie, w głąb świata i na pochybel świata, przemierzając setki tysięcy kilometrów, właściwie nie wychodząc z domu. Zawsze w rodzinnym grajdole.

Miejsca, do których prowadzi nas stasiukowy bedeker, przywodzą na myśl moment, w którym - na co dzień zajęty własnymi sprawami student odkrywa, że coś w nim pękło, że już nie może zawozić ubrań do domu. Skłania go to do odnalezienia pralni, po prawie dwóch latach od zamieszkania w akademiku. Łatwo można sobie wyobrazić jego triumf zwieńczający zwiedzanie piwnicy, po długim okresie strachu i nieświadomości, lęku i niezdecydowania, przed otwarciem ożywającego kosza na bieliznę. Kiedy już zdecydował zainwestować w proszek i z sercem na ramieniu nacisnąć na klamkę prowadzącą do świata świeżości, pozbawionego kiszonych od dzieciństwa brudów, okazuje się, że drzwi są zamknięte, że to nie miejsce dla wszystkich, że trzeba iść po klucz. Tereny, które mogły okazać się jakąś nową jakością, okazały się ekwiwalentem wsi spokojnej, wsi niekoniecznie wesołej, ale zamieszkaney przez prostych ludzi, którzy nie roszczą sobie prawa do pretensji, wygórowanych oczekiwań i szeroko pojętych rozwojowych ambicji. Można tam poczuć się dobrze, bez zbędnego wysiłku pracy nad sobą. To wcale nie zarzut. To bezsilność i potrzeba akceptacji, którą każdy z nas w sobie nosi. Niektórzy ukrywają je bardzo głęboko, u niektórych to pulsująca tkanka tuż pod samą powierzchnią nadwrażliwej skóry. A te książki napisał ktoś niezwykle przenikliwy i wrażliwy. Ktoś, kto jak śmiem twierdzić, paradoksalnie stanął w miejscu i nie ma zamiaru zdecydować się na wewnętrzny ruch. To chyba upadła nadzieja. A jej brak implikuje wygodny brak oczekiwań.

W prozie Stasiuka wyczuwa się przemożną chęć ucieczki i jednoczesną niemożność jej zrealizowania. To tak, jakby czas i przestrzeń śmiały się do rozpuku i pluły bohaterowi w twarz, mówiąc: „I co herosie, jesteś gdzieś indziej niż u siebie? Czy to nie to samo miejsce, z którego uciekasz, dorabiając sobie do prozaicznego wyjścia z domu miliony teorii i znaczeń? Czy nie chodzisz w kółko wciąż po własnym pokoju, jakby twoim jedynym celem było nabicie, jak największej liczby kroków w swoim super-sprytnym liczniku, wytworze współczesności,

przed którą tak się bronisz? Czym różni się krajobraz Rumunii od tego oglądanego w Dukli albo Beskidzie Niskim? Nawet pod zamkniętymi powiekami, twój smutek to lustro.”

Bezwład i jałowość otwartych przestrzeni – czasem ruchomych (ale przesuujących się powoli), częściej jednak statycznych obrazów malowanych słowem – otwiera powieści Stasiuka na piękno języka i poetyckość ilustracji, którymi naprawdę można się zachwycić. Przyznaję, że również ja nie pozostałam obojętna na literacki czar „Dukli” czy „Jadąc do Babadag”. Autor objawia się jako artysta-fotograf, tworzący akty erozji miast, wiosek i (pośrednio) - umysłów. Taka oprawa opisów pustki i jałowości, okraszona odautorskim zafascynowaniem nią, wywołuje dreszcze. Jest we mnie po ich lekturze taki rodzaj niepokoju, który znalazł swoje odbicie w pewnej sytuacji. Pewnego dnia, przemierzając Opole, na jednym z budynków zauważyłam zegar, który nie miał wskazówek. Pomyślałam, że to takie symboliczne i znaczące, przypomniało mi się, że tak naprawdę czas, to tylko konstrukt, miraż stworzony na obraz i podobieństwo ludzi, którzy nie potrafiąc, ani tym bardziej nie chcąc być wolni, zdecydowali się już u zarania dziejów, ubrać swoje życie w karby przesypanych się ziarenek piasku. Istny atak filozoficzno-romantyczno-poetyckiej ekstazy. A ten zegar to taki bunt, wyjście poza schemat i nasionko anarchii rzucone w skałę betonowego gmachu. Ten krótki, aczkolwiek wyraźny przeblysk emocjonalnego pobudzenia (Stasiuku, cóż Ty ze mną czynisz?!), szybko – bo po kilku dniach – jednak został przesłonięty przez smog rozczarowania – któremu dało wyraz spostrzeżenie, że wskazówki powróciły na swoje miejsce, bodajże po gruntownym remoncie. Ba! Nawet zyskały złocistą politurkę. I znowu nici z surowego ideału.

To samo musiał przeżywać bohater zmierzający ku Babadag: człowiek malujący słowami pustkę. Zbuntowany przeciwko szybkiemu życiu, wyrażający coś ocierającego się o kontury wstrętu, a już na pewno chłodnej obojętności, ostentacyjnie odwrócony plecami od zgiełku zachodnich aglomeracji. Stasiuk wybiera to co stare, rozpadające się, i bezpłodne. Jakby chciał udowodnić wszem i wobec, że on nie chce, i nie będzie żył jak inni, że można inaczej, że gdy wszyscy ciągną na zachód, to on pojedzie na wschód, i tyle go widzieli! Czytelnik dostaje od książki w twarz, w momencie, kiedy orientuje się, że cały ten ruch i ucieczka: kontra innym, wbrew sobie, przeciwko rzeczywistości - jest tylko fasadą. Okazuje się bowiem, że nasz bohater wyjeżdża na wschód i szuka miejsc do złudzenia przypominających to, z którego wybywa. Zdaje się, że pustka i smutek posępnego człowieka, który ucieka od dezintegracji i bezsensu własnego życia, inkarnuje się w nim na wzór archetypu wyzwolonego wagabundy, aby oszukać innych oraz samego siebie. Krzyknąć, że coś się dzieje,

że istnieje jakiś sens, droga ku wyzwoleniu, ruch. W ten oto sposób realny krajobraz zmieniających się jak w kalejdoskopie punktów podróży, odsłania się przed czytelnikami jako swoisty pejzaż wewnętrzny – odwzorowanie sytuacji życiowo-emocjonalnej współczesnego nomady, globtrotera rodem z Polski.

Widzę w tym wszystkim literackie impresje prosto z otchłani. Dzięki talentowi Stasiuka widzimy świetnie skonstruowany obraz, człowieka stojącego na rozdrożu. Znamienne jest to, że jego celem wcale nie zdaje się być postawienie kolejnego kroku, ani nawet zastanowienie się nad tym, jak to uczynić. Stał na rozstaju dróg i przemienił się w drogowskaz rozmazany od mgły i wiatru. On doskonale wie, że nie ma dla niego lepszego miejsca, dogodniejszego punktu obserwacji. To takie stanowisko, z którego dobrze widać, co się dzieje z tym, co kiedyś było, ale sukcesywnie przestaje podtrzymywać swoje istnienie. Może to pewnego rodzaju tęsknota za tym, co zostało nieodwracalnie utracone, albo wręcz przeciwnie – marzenie o zagładzie świata, w którym roi się od dusz bez przyszłości. W końcu brak światła z każdą chwilą dnia coraz bardziej wnika w światło, a istnienie zawsze jest jego kaprysem. Oczywiście to nie moje słowa, tylko Stasiuka – i myślę, że zostały całkiem zgrabnie sformułowane.

Chociaż tego typu literatury nie mogę z czystym sumieniem zaliczyć do rodzaju porywających, nad wyraz ekscytujących, czy po prostu swoich ulubionych, to nie żałuję refleksji oraz konstatacji, do których doprowadziła mnie lektura dostarczona przez Andrzeja Stasiuka. Jego proza zapewnia przede wszystkim mnogości estetycznych wrażeń na bardzo wysokim poziomie. Nie mam jednak pewności, czy zasadnym byłoby uznawanie jego dzieł za nowatorskie lub szczególnie oryginalne na płaszczyźnie filozoficznej. W końcu sam autor puszcza do nas w pewnym momencie oczko, poddając w wątpliwość, czy sobie tego wszystkiego nie wymyślił – a to pociąga za sobą kolejne wątpliwości: to ujawnienie się czy prowokacja? (odpowiedni fragment znajdziemy w „Jadąc do Babadag”). Skłaniam się raczej ku pogładowi, że w prozie Stasiuka chodzi przede wszystkim o artystyczny zachwyt i ukazanie własnego sposobu na przechytrzenie niezdolności życia.

Śmiało mogę polecić sięgnięcie po omawianą twórczość wszelkim admiratorom literatury, szczególnie tym, którzy lubią odkrywać poetyckość, jaką uważne zmysły artysty potrafią wydobyć z przestrzeni. Gdy wspominam wysublimowane obrazy, które Stasiuk przedstawia na stronach swoich książek niczym w fotoplastykonie, myślę, że ani trochę nie żal

mi tych wszystkich dusz należących do rzeczy zamkniętych w poetyckich wizjach, językowych fotografiach, które z pewnością wykraczają poza rezerwat codzienności.